Herosi

Cetnarowski Ćwiek Dębski Janusz
Kosik Małecki Orbitowski
Paliński Skalska Szmidt Wegner

Herosi

powergraph

Warszawa 2012

Copyright © 2012 by Łukasz Orbitowski, Rafał Dębski, Robert Szmidt, Aleksandra Janusz, Joanna Skalska, Jakub Małecki, Jakub Ćwiek, Paweł Paliński, Rafał Kosik, Robert M. Wegner, Michał Cetnarowski
Copyright © 2012 by Powergraph
Copyright © 2012 for the cover by Sławomir Wolicki & Rafał Kosik
Wszelkie prawa zastrzeżone.
All rights reserved.

Redaktor prowadząca serii: Kasia Sienkiewicz-Kosik
Redakcja: Kasia Sienkiewicz-Kosik, Michał Cetnarowski, Dawid Juraszek
Korekta: Maria Aleksandrow
Korekta łacińska: Michał Czerenkiewicz
Skład i łamanie: Powergraph
Ilustracja na I okładce: Sławomir Wolicki
Projekt graficzny serii i opracowanie: Rafał Kosik

Wyłączny dystrybutor:
Firma Księgarska Olesiejuk Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki
tel. 22 721 30 00, fax 22 721 30 01
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Wydawca:
Powergraph Sp. z o.o.
ul. Cegłowska 16/2, 01-803 Warszawa
tel./fax: 22 834 18 25, 22 834 18 26
powergraph.pl, sklep.powergraph.pl, e-mail: powergraph@powergraph.pl

ISBN 978-83-61187-52-3
Printed in Poland, EU

Łukasz Orbitowski

Kret i Król

Pierwszy z mężczyzn był małego wzrostu, o żywych ruchach, ciemnej twarzy, niespokojnych oczach i ostrych, mocnych rysach. Wszystko było w nim wyraźnie zarysowane: małe, silne dłonie, smukłe ręce i cienki, kościsty nos. Za nim szło jego przeciwieństwo: ogromny mężczyzna o bezkształtnej twarzy, wielkich, bladych oczach i szerokich, opadających ramionach. Szedł ciężko, powłócząc nieco nogami jak niedźwiedź. Ręce jego nie kołysały się miarowo, lecz zwisały luźno.

John Steinbeck, *Myszy i ludzie*, tłum. Jan Meysztowicz

Zacząłem ślepnąć siedem lat temu i długo nie pojmowałem, co tak naprawdę się dzieje. Najpierw musiałem mrużyć oczy, żeby zobaczyć, kto zbliża się do mojego domu i bardzo szybko przestałem odróżniać przyjaciół od wrogów. Jedni i drudzy byli tylko zamazanymi sylwetkami, które wyostrzały się, kiedy gość stawał w progu. Potem wydało mi się, że Słońce słabnie i wkrótce mrok nas podusi. Moja łąka stanie się czarna i martwa, bo ogniska i jasne nie zdołają utrzymać świata przy życiu. Poszedłem do świątyni i porozmawiałem z kapłanem. Zerknął w moje oczy. Powiedział, że Słońce słabnie, ale tylko dla mnie.

Przerażony, wróciłem do domu i zastanawiałem się, co powinienem zrobić. Rozważałem samobójstwo i jak sądzę, nie byłem daleko od tego kroku. Nie obawiałem się samej ślepoty. Widziałem

w życiu dosyć – świat jest paskudnym miejscem, spowszedniała mi łąka, a kota najlepiej głaskać z zamkniętymi oczyma. Wiem, jak wygląda śmierć w mroku i zrobiłbym wszystko, żeby jej uniknąć. Nieustanne przebywanie w świetle, samemu będąc ociemniałym, wydawało mi się niemożliwe.

Na szczęście traciłem wzrok bardzo powoli. Przygotowałem wszystko, pozwalając sobie na ruch godny księcia. Wydzieliłem z domu pokój wraz z komórką, gdzie poleciłem wstawić kubeł na nieczystości, a służbie kazałem obić pomieszczenie jasnym pierwszej próby i zamykać mnie w nim przed nadejściem nocy. Za sam sufit mógłbym kupić dwadzieścia koni. Do tego wokół domu płoną ogniska. Wiem, bo czuję ich ciepło. Nigdy nie zamykam okien, żeby mogły wchodzić koty.

Służący siedzą przy ogniu w innym skrzydle i co rano otwierają moje drzwi, mówiąc, że nastał nowy dzień. Nim wyjdę, wysuwam rękę za okno i sprawdzam, czy Słońce już grzeje. Nie ufam im. Prędzej czy później ktoś mnie oszuka, na przykład zedrze jasne ze ściany lub zwyczajnie wepchnie mnie w mrok. Zasłużyłem na to i w jakimś sensie wydaje mi się to nieuniknione. Wiem, że mnie okradają i odejdą, kiedy odkryją, gdzie trzymam resztę złota. Lata wojny nauczyły mnie o ludziach tego i owego.

Na co dzień nie jestem wymagający – chcę, by karmiono koty, co spotyka się z reakcją pełną niezrozumienia. Ludzie nie umieją pojąć, czemu otaczam się tak dziwnymi zwierzętami. Płacę jednak dość dobrze, by każdy mógł żyć z tak drobną przykrością. Domagam się regularnych posiłków, wina i wody, zawsze też muszę mieć kogoś pod ręką, choć dom znam na wylot i mogę poruszać się po nim bez żadnych kłopotów. W mroku okrywającym moje oczy jest coś naprawdę przerażającego.

Nie umiem pisać i dyktuję tę księgę, mając nadzieję, że służba pozwoli mi ją skończyć, nim mnie zabiją. Może dlatego idzie mi tak powoli. Pamiętam, jak z Królem po raz pierwszy porozmawialiśmy o kotach i jak pomyślałem sobie, że nikt nigdy nie spotkał starego najemnika.

Cóż, nie jest to prawdą.

***

Nikt nie wiedział, jak naprawdę ma na imię i nazywano go po prostu Królem. Początkowo sądziłem, że to na cześć jego niezwykłej siły, co okazało się bardzo mylące. Pochodził z Południa i był wielki nawet jak na ludzi stamtąd, wyrosłych, zmężniałych w wyjątkowo mocnym Słońcu. Nim go zobaczyłem, zdołałem się nasłuchać, że to nie żaden człowiek, lecz olbrzym – tylko wyjątkowo bystry, lub syn kobiety zgwałconej przez olbrzyma. Takie rzeczy jednak się nie dzieją. Był po prostu bardzo dużym mężczyzną, jednym z największych, jakich widziałem.

Nauczyłem się nie myśleć za wiele, a już na pewno nie zastanawiać się, kto ma rację, a kto nie. Wędrowałem na wschód w poszukiwaniu zajęcia i natrafiłem na fortyfikacje kopalni, gdzie wydobywano blask do produkcji jasnych. Takie miejsca to niesamowita sprawa – schodzi się do głębokiej sztolni tak nisko, że pochodnie gasną i na ścianach wiszą jasne, aż dociera się do grubych żył blasku, które trzeba rozkuć i wyciągnąć na wózku. No, ale ja nie byłem górnikiem i zdziwiłem się, że przy kopalni kręci się tylu podobnych do mnie. Przyjęto mnie nieufnie i dowiedziałem się, że górnicy mają kłopoty z księciem o imieniu Sar, który nie zgadza się na ich ceny. W sumie nie wiadomo, czy to Sar chciał płacić mniej lub obmyślił sobie, że zajęcie kopalni siłą bardziej mu się opłaci, czy górnicy podbijali ceny. Jak mówiłem, nie ma co za dużo myśleć. Nająłem się.

Tam poznałem Króla.

Słyszałem o wielu, którzy wybierali się na Południe, by urosnąć, przebywając w pełnym Słońcu od rana do wieczora. Sam czasem miewałem na to ochotę, zwłaszcza że budową przypominałem człowieka z gór: niski, silny, o mocnych, drobnych kościach. Szybko zorientowałem się, że mój niewielki wzrost bywa przydatny, czy nawet bezcenny, a od wyprawy na Południe odwiódł mnie widok tych, którzy przebywali tam zbyt długo. Ciało rzeczywiście rośnie, mięśnie stają się mocniejsze, a potem człowiek deformuje się w okropny sposób: z pleców – niby resztki skrzydeł – wyrastają kości, dłonie i stopy zmieniają

się w płetwy, palce wydłużają się i w końcu łamią, klatka piersiowa zaczyna przypominać skrzynkę, aż nieszczęśnik staje się właściwie niezdolny do ruchu. Potem taki pełza i prosi o chleb. Co gorsza, kości rosną również do wewnątrz i rozrywają serce, wątrobę, płuca. To wielkie cierpienie każe szukać wybawienia w mroku.

Mówiono, że Król spędził dzieciństwo na Południu – co jest niemożliwe, tam tylko się podróżuje – jednak w tej opowieści kryła się odrobina prawdy. Miał proporcjonalne, bardzo piękne ciało. Z wyjątkiem głowy. Na niej tylko twarz była w miarę normalna, wokół czoła zaś, mniej więcej na wysokości uszu biegły grube guzy o rozmiarach kciuka dorosłego mężczyzny. Mnie samemu skojarzyły się z koroną, rozumiem więc, czemu go tak nazywano.

Siedział przed namiotem i wgryzał się w mięso. Zdumiały mnie jego oczy – puste i łagodne, w lot połapałem się, że do najbystrzejszych ma trochę daleko. Wszyscy wciąż na niego patrzyli, donosili wina i jedzenia, ale nikt nie mógł się za bardzo zbliżyć. Pilnował tego rosły mężczyzna z czarną brodą, który miał na imię Hal. Nie opuszczał Króla ani na krok, szedł po nim spać i zawsze był pierwszy na nogach.

Nasze obozowisko składało się z kilkunastu drewnianych domów dla górników oraz naszych namiotów. Szybko połapałem się, że kilkudziesięciu dobrze wyszkolonych mężczyzn da tutaj radę dużo większej armii. Z trzech stron otaczały nas skały zbyt strome, żeby się na nie wspiąć, zresztą, górnicy mówili, że z góry nie ma żadnej drogi, zwłaszcza takiej, którą zdołaliby pokonać zbrojni. Do kopalni szło się wąwozem, dość wąskim, by przeciwnik nie mógł wykorzystać przewagi liczebnej. Na mój rozum mogli wziąć nas głodem i do tej pory nie rozumiem, czemu Sar na to nie wpadł.

Przesiedzieliśmy tydzień właściwie bezczynnie, najpierw mi się to podobało, a potem zaczęło złościć. Górnicy to mrukliwa nacja, nie do pogadania, więc zacząłem szukać towarzystwa. Padło na Hala, który okazał się bardzo rozmowny. Potem do-

wiedziałem się czemu – ciągłe gadanie tylko z Królem bywało męczące, zwłaszcza gdy trzeba tłumaczyć każdą rzecz po trzy razy. Najpierw rozmawialiśmy tylko o nim, co chyba nudziło Hala. Musiał wiele razy opowiadać to samo różnym ludziom, a ja i tak pytałem: czy to prawda, że Król, kiedy miał pięć lat, urwał łeb niedźwiedziowi? Czy rzeczywiście walczył od maleńkości, a za pierwszą broń miał drzewo, które sam wyrwał z korzeniami? Jak to było przy oblężeniu Muru – rzeczywiście, brał kamienie przeznaczone dla katapult i ciskał nimi w nacierającego wroga? Czy to prawda, że poszedł w góry i sam jeden zabił pięćdziesięciu Skalnych w ich własnych jarach i to stąd Skalni boją się zapuszczać między ludzi? Prawda to, Hal, że to dzięki Królowi mamy spokój ze Skalnymi?

Tak pytałem, pytałem, on zgadzał się albo zaprzeczał. Wreszcie wziął mnie do ognia i powiedział coś takiego:

— Wędruję z Królem prawie dwa lata, dużo widziałem, a czego się nasłuchałem! O Wężach, co je podusił, Tronach, którym pogniótł stalowe łby. Pięknie — splunął, w ogóle lubił pluć — znam trochę innego Króla. Znam Króla, któremu nie można podać ręki, żeby ci jej nie zmiażdżył, za to trzeba mu podetrzeć tyłek, bo inaczej rozsmaruje sobie gówno od karku po łydki. Znam Króla, którego muszę pilnować, kiedy się pieprzy i nawet uważać podczas walki, żeby nie zabił swoich — mówił coraz szybciej, oczy miał zimne i wściekłe — znam Króla, który dziesięć razy zapyta o to samo, a ty dziesięć razy odpowiesz, nim dotrze do jego zakutego łba. Króla, co pierdzi tak, że w namiocie nie da się siedzieć albo ryczy jak baba z byle powodu, a ty musisz uważać, żeby cię nie rozdeptał. A jeśli ktoś twierdzi, że Król jest inny, znaczy, że łże – tyle ci powiem.

Słuchałem go tak i pomyślałem sobie, że Hal jest strasznie słaby i zniewieściały jak na najemnika. Mógłbym go zabić bez większego kłopotu, choć jestem niski i niespecjalnie silny. Zrozumiałem, czemu Hal nim się zajmuje, wolałem to jednak usłyszeć od niego.

— No to czemu się z nim włóczysz? — zapytałem.

Hal wzruszył ramionami.

— Przecież to sierota i dureń, dnia by nie przeżył. Powiesz mu dla kawału: „Królu, idź no w mrok”, to polezie i będzie po nim. Albo poleci za kotem i skądś zleci, albo kogoś zadusi i go wsadzą, rzuci się na łuczników czy co tam jeszcze. — Bez przerwy pluł. Miałem ochotę powiedzieć mu, żeby tego nie robił. — To z nim trzymam, żeby nie napytał sobie biedy.

Zamilkł. Trudno szanować człowieka, który nie mówi prawdy, kiedy nie musi kłamać. Hal właśnie taki był. Brał część zapłaty Króla i jestem pewny, że go do tego oszukiwał. Poza tym żaden był z niego najemnik i sam potrzebował ochrony Króla, tak jak Król potrzebował jego.

Nie przepadałem za Halem, jednak czasem powiedział coś ciekawego, no i lubiłem słuchać o Królu. Mówił mi o trudach opieki nad nim, jak przygotować mu łóżko i co powiedzieć kobiecie, żeby był zadowolony, w jaki sposób ustawić go do walki i co robić, żeby nie wariował z nudów.

— Uwielbia, jak mu się opowiada historie, a ja nie jestem w tym zbyt dobry.

Tak słuchałem, usiłując wyrobić sobie zdanie na temat Hala i zrozumiałem, że nie pała do Króla jakąś szczególną niechęcią – po prostu nie przepadał za ludźmi i nie zdradzał żadnego przywiązania. Moim zdaniem lepiej sprawdziłby się jako kupiec albo jeden z tych ludzi, którzy dbają, żeby w dworach zawsze było jedzenie, ogień i jasne. Po jakimś czasie Hal wyczuł, że mam ochotę poznać Króla, i zaprosił mnie do namiotu, ostrzegając, żebym nie podawał mu ręki, a najlepiej nie siadał zbyt blisko. Wziąłem to sobie do serca. Król, właściwie nagi, jeśli nie liczyć przepaski na biodrach, o ciemnej gładkiej skórze, z długimi włosami opadającymi na byczy kark skojarzył mi się z jednym z tych posągów pradawnych wojowników, które widujemy w wielkich miastach przy Wieży. Usiadłem naprzeciw niego. Jadł pieczone mięso, spojrzał na mnie i wybuchnął śmiechem.

— Jesteś mały! He! Nie za mały na wojownika?

— Pochodzę z Północy. Tam mamy mniej Słońca. A nim zostałem wojownikiem, byłem złodziejem.

— No, chyba że tak — zajadał się Król — no, chyba że tak. A co żeś kradł?

— A to, co było do ukradzenia.

Zarechotał i się zakrztusił.

— Dobre, dobre! — Zerwał się z trójkątnego stołka i zobaczyłem, jaki jest ogromny. Cień jego głowy przypominał gwiazdę. — Ja tu nie chcę! Ja tu siedzę! Ja bym poszedł! Rok tutaj!

— Trzeci tydzień — przypomniał Hal.

— Rok! Rok! Rok! — upierał się Król. — A gdzie pójdziemy potem? Hy? Hal, musisz mi to powiedzieć, dokąd dalej pójdziemy, bo w górach nie da się już siedzieć.

Hal sapnął, popatrzył na mnie trochę bezradnie, nalał sobie do kubka.

— Nie wiem, Królu. Pójdziemy, to zobaczymy.

W okamgnieniu Król znalazł się przy mnie, potężne łapy zacisnęły mi się na ramionach. Bolało. Poczułem, że gdyby szarpnął, mógłby wyrwać mi ręce. Hal zerwał się ze swojego kąta.

— Ty, złodzieju, gdzie można by pójść? — zapytał Król.

Nie zwolnił uścisku. Za jego plecami stał Hal i dawał mi bezradne znaki. Nie było sensu tłumaczyć, że od dawna nie jestem złodziejem. Przypomniałem sobie miejsca, które odwiedziłem.

— Byłeś kiedyś w Maral? To ogromne miasto na południowy wschód stąd.

Zaprzeczył gwałtownym ruchem głowy.

— Ja byłem. Nie wyobrażam sobie piękniejszego miejsca, a jak ma się pieniądze, to dopiero można pożyć. Maral to naprawdę dwa miasta, jedno nad drugim. To na dole nazywa się Ma, a na wyższe wołają Ral. — Opowiadanie szłoby lepiej, gdyby nie żelazny uścisk na ramionach. — Wygląda to tak, że Ma leży w kotlinie, a wyżej, na mostach i słupach wznosi się Ral. Mają tam przebogate złoża blasku, jasne robią najlepsi światłomistrze i jasne w Ma są barwy wody. Wszystko jest nimi pokryte, nawet dachy domów. Ral wygląda podobnie, tylko tam jasne są złote.

Mrok tam nigdy nie zapada. Jak siedzisz w Ma, widzisz nad sobą złote niebo, a jak wyjdziesz na górę, to znów widzisz miasto jak wielkie jezioro, w którym odbijają się gwiazdy.

— A Wieże są?

— Pewnie, że są, nie znajdziesz miasta bez Wieży. Tamtejsza wygląda inaczej niż gdzie indziej, wyrasta z Ma i ma szeroką podstawę, ugina się, podparta przez grubą kolumnę. Na niej — chrząknąłem, naprawdę bolało — wiją się złote jasne z Ral. I podczas gdy wszystkie inne Wieże zwężają się ku górze, ta rozkwita, rozumiesz, Królu, złote pasma rozbiegają się we wszystkich kierunkach jak rozczapierzona dłoń.

Król zwolnił uścisk. Wpatrywał się we mnie i wyglądał, jakby zaraz miał się popłakać. Cofnął się, Hal poprowadził go do stołka. Król był wyraźnie poruszony i chciał sprawić mi jakąś przyjemność – wskazywał na piekące się mięso i butelki wina. Nie bardzo mogłem odmówić, więc wypiłem pół kubka i poszedłem, mając dość tego namiotu i tego człowieka.

Położyłem się u siebie i zasnąłem. W środku nocy obudził mnie człowiek od Hala i powiedział, że Hal prosi, błaga i zaklina, żebym przyszedł do jego namiotu. Nie miałem na to ochoty, ale tamten był stanowczy. Otuliłem się w jasne, wziąłem pochodnię. Mrok był cichy tej nocy, za to wrzaski Króla niosły się po obozie. Przez rozświetlone płótno widziałem wyraźnie miotającą się sylwetkę olbrzyma. Na zewnątrz wypadł Hal.

— Ja cię proszę. Idź tam, nic się nie bój i opowiedz mu jeszcze raz o tym mieście. Nie umiem go uspokoić, tylko tego chce. Maral i Maral, aleś mu, chłopie, w głowie zawrócił. Idź. Nie zrobi ci krzywdy.

Nie byłem taki pewien, no ale nic innego nie przyszło mi do głowy.

— Teraz to już wiesz, czemu trzymam go z daleka od innych — rzekł Hal.

Na mój widok Król przestał wrzeszczeć i machać pięściami, zwiesił ramiona, jakby były martwe i usiadł w kącie, z opuszczoną głową. Wskazał mi stołek, wystarczająco odległy, żebym

zdążył uciec, gdyby się na mnie rzucił. Gibał się w przód i w tył, nie śmiał na mnie podnieść oczu. Opowiedziałem mu wszystko, co pamiętałem z Maral, słuchał z otwartymi ustami. Gdy skończyłem, poprosił, bym powtórzył.

— Bo chcę dobrze zapamiętać — wyjaśnił — u mnie z tym to nie jest dobrze.

Opowiedziałem. Hal zasnął na ziemi, pomiędzy mną a Królem.

***

Następnego dnia zobaczyłem Króla w walce.

Obudziłem się koło południa, w jego namiocie. Król spał, siedząc na poduszkach, co wyglądało bardzo dziwnie w pierwszej chwili. Zorientowałem się, że to guzy przeszkadzają mu w leżeniu. Ledwo doszedłem do siebie, kiedy do namiotu wpadł człowieczek z wrzaskiem, że idą ludzie księcia Sara. Pobiegłem zaraz zobaczyć – i rzeczywiście, nadciągali, w sile około stu, z długimi tarczami i w mocnych hełmach, co miało chyba zabezpieczać przed atakiem z góry. Zaraz pomyślałem sobie, że muszą to być najlepsi z jego armii albo Sar jest wyjątkowym durniem.

Król już wyszedł, w skórzanym napierśniku, na rękawicach miał nabite gwoździe. W lewej ręce trzymał miecz, w prawej długi sztylet o zakrzywionym ostrzu. Obok stał Hal z tarczą i coś mu klarował. Król prawie go nie słuchał, kiwał łbem od niechcenia i nie odrywał wzroku od nadciągającego wojska. Musiałem zająć swoją pozycję, więc straciłem ich z oczu.

Wypuściliśmy strzały, właściwie je marnując, ludzie Sara unieśli tarcze i tyle z tego wyniknęło. Szli równym tempem, rozwijając szereg tak szeroko, jak pozwalał wąwóz. Ruszyliśmy w dwóch flankach, tak jak było wcześniej mówione. Mam krótkie nogi i szybko zostałem z tyłu, a kiedy dobiegłem, linia wroga już była przełamana. Lubię walczyć i jestem w tym niezły, przeciwnik często mnie lekceważy, a umiem być szybki. Skakałem wokół większych od siebie, ciąłem, dźgałem, ostrze zawsze znalazło dziurę w pancerzu albo ominęło tarczę. Ci ludzie wcale nie byli

tacy dobrzy, jak sądziłem, sam położyłem dwóch, a trzeciego raniłem w oko. Spychaliśmy ich w dół wąwozu.

Wówczas ruszył Król. Popędził po stoku i wpadł w sam środek, w miejsce, które było dla niego zostawione. W ogóle się nie osłaniał, jakby skórę miał z metalu, jednak osłaniać się nie musiał – nikt nie zdołał doń dojść bliżej niż na odległość ciosu. Powalił dwóch jednym uderzeniem, ciął na lewo i prawo, nie patrząc na boki czy za siebie. Walił mieczem jak kijem, a jak sztylet utkwił mu w kościach przeciwnika, zerwał rogaty hełm i prał nim po łbach. Wbrew swoim rozmiarom, był cholernie szybki, dużo szybszy ode mnie.

Ludzie Sara pojęli, co się święci, i odstąpili od Króla. Wokół niego na długość miecza nie było nikogo, tylko zwały trupów. Ryknął, zupełnie nie jak człowiek, bo i człowieka też nie przypominał – cały zakrwawiony, z guzami wokół czaszki. Nie mieliśmy na co czekać, uderzyliśmy z boków, spychając ludzi Sara wprost na Króla. Kto inny zaraz by zginął, Królowi jednak nie w głowie było umieranie, walił na wszystkie strony, nim kto doskoczył, padał, jakby piorun w niego trafił, a on przecież dopiero zaczynał – zmienił się w czerwoną smugę, dopadającą wroga, celną i bezlitosną. Rannym miażdżył grdyki lub kopniakiem przetrącał karki. We mnie wstąpiły nowe siły. Król odwalał robotę za dwudziestu no i – silny, szybki Bóg walki – był w jakiś sposób piękny. Dawał nadzieję.

Wypieraliśmy tych od Sara to na Króla, to w dół wąwozu, aż pobiegli bezładnie, porzucając tarcze i próbując zerwać zbroje, żeby uciekać szybciej. Król puścił się za nimi, nie zdradzając objawów zmęczenia. Ciął mieczem przez plecy lub przebijał uda, zostawiając krwawiących za sobą, przetrącał kręgosłupy, ciskał kamieniami, aż straciliśmy go z oczu. Hal był zupełnie spokojny. Wkrótce zobaczyliśmy Króla, jak wraca z mieczem zarzuconym na ramię.

— Zabił ich wszystkich? — zapytałem.

— Nie wiadomo — odparł Hal. — Mówię mu, niech zostawia paru, żeby opowiedzieli swoim, co się stało. W walce to on całkiem rozum traci i czasem rzuca się nawet na naszych.

Rozumiałem, co chciał mi powiedzieć. Niedobitki wrócą, Sar dowie się o walce. Wieści pójdą w świat, sława Króla wzrośnie i Hal będzie mógł wziąć więcej za następną robotę. Życie jest śmieszne i kto wie – myślałem – może następnej wiosny ruszymy z Halem i Królem na górników, opłaceni przez Sara.

Zerwaliśmy z trupów wszystko, co miało jakąś wartość, i zrzuciliśmy ciała w dół wąwozu, żeby wiatr nie nawiewał smrodu. Wszyscy cieszyliśmy się łatwym zwycięstwem, choć kilku, łącznie z Halem i mną, usiłowało ostudzić nastroje pozostałych. Być może Sar wysłał zwiad przed właściwym uderzeniem? Ci, których zabiliśmy, nie walczyli zbyt dobrze. Wystawiliśmy straże i czekaliśmy w spokoju, co jest najnudniejszym zajęciem pod Słońcem. Ludzie pili i skakali sobie do gardeł.

Król w walce zrobił ogromne wrażenie i niektórzy chcieli ruszać w jego towarzystwie na podbój królestw. Wydawał się niezniszczalny i nawet ja nie wyobrażałem sobie siły, która zdoła mu się oprzeć. Właściwie podzielałem zdanie innych: po co włóczyć się od bijatyki do bijatyki, skoro można ruszyć kupą, na plecach Króla wywalczyć sobie to i owo. Zapytałem Hala, czy nigdy o tym nie myślał.

— Póki Król tłucze tępaków od takiego Sara, eskortuje karawany albo ściga zbójców, nikt go nie ruszy — powiedział — przecież go widziałeś. Jednak świat jest za wielki na tego olbrzyma. Nie poradzi sobie.

Zgodziłem się, lecz w duchu pytałem siebie, czy przypadkiem nie jest tak, że świat jest za duży, ale dla Hala.

Żadne niebezpieczeństwo nie nadciągało, za to w obozie działo się coraz gorzej. Z górnikami dogadać się nie szło, pewno dlatego że wcześniej każdy umawiał się osobno. Żądaliśmy, żeby wynagrodzenie zabitych podzielić przez nas wszystkich lub dać ich sługom, górnicy chcieli zatrzymać je dla siebie. Próbowali zaciągnąć nas do jakiejś roboty przy dźwigach i sztolniach, co

miałoby sens, bo zyskalibyśmy zajęcie, nikt jednak się na to nie zgodził. Po dwóch tygodniach takiej szarpaniny mieliśmy dosyć siebie nawzajem.

Górnicy zdecydowali się zatrzymać dziesięciu najemników, resztę zaś rozpuścić. Zabiegali u Hala, by Król pozostał, Hal może i byłby zadowolony, za to Król nie chciał o tym słyszeć, groził nawet, że jak tak ma być, to on pójdzie i pozabija wszystkich w kopalni. Co tu dużo mówić, siedzieliśmy na wulkanie i trzeba było iść. Ustaliliśmy, że wyruszymy w grupie, na wypadek spotkania z ludźmi Sara albo gdybyśmy wpadli na Skalnych. Wybraliśmy świt.

Nikt nie miał jasnych planów, co będzie dalej, dokąd pójdzie i co zrobi. Planowałem iść z Halem i Królem przynajmniej do miast, a potem zastanowić się – pozostać z nimi, czy wędrować samemu. Hal, jakikolwiek był, miał w głowie to i owo, no i pomagałem mu przy Królu, czym wzbudziłem jego sympatię i nieufność. Zastanawiał się, czemu robię to, co robię, opowiadam mu o miejscach, które widziałem, albo myję to wielkie ciało. W gruncie rzeczy, nie było jednej odpowiedzi. Nudziłem się.

Ruszyliśmy w kilkudziesięciu, dość wolno, bo każdy był objuczony. Król z Halem jechali w środku kolumny, ja trzymałem się z tyłu, tak że widziałem te wielkie plecy i guzy z tyłu głowy. Nie chciało mi się z nikim gadać, może dlatego że opuszczałem to ponure miejsce i przywykłem do cieszenia się w samotności. Nie zarobiłem wiele, nic, co by się zaraz nie rozeszło. Jak masz pieniądze, najmilej wydawać je w głowie.

Otaczające nas skały o łagodnych garbach w porannym Słońcu wydawały się śnieżnobiałe. Wąwóz najpierw biegł ostro w dół i był w miarę wąski, by rozszerzyć się i prowadzić łagodnie w zieleń doliny, majaczącą pod nami. Jest coś głupiego i denerwującego w takiej wędrówce – leziesz, leziesz, wiesz, że nigdy nie wrócisz, tam gdzie byłeś, nie spotkasz tych ludzi, a jeśli wrócisz lub spotkasz, to znaczy, że w życiu ci się nie powiodło.

Zaatakowali nagle i z dwóch stron poleciały kamienie, strzały i bełty, nim ktokolwiek się połapał, kilku od nas już leżało.

Ludzie się rozbiegli, dopadłem pierwszego głazu, zerknąłem – kilkadziesiąt drobnych postaci siedziało między skałami. Sar miał taki pomysł, podesłać nam mięso, uśpić i nakłonić do wyjścia. Potem weźmie kopalnie jak swoje, no ale w tej chwili interesowało mnie co innego.

W zamieszaniu nie wiedziałem, co się dzieje, popędziłem więc naprzód, chcąc opuścić te kleszcze. Wystarczyło spojrzeć, jakie to było głupie – w miejscu, gdzie wąwóz się zwężał, walił grad strzał, ludzie padali. Często myślałem, że już jest po mnie i nauczyłem się tym nie przejmować: skulony, kryjąc się, za czym mogłem, biegłem po stoku ku strzelającym. Inni zrobili to samo.

Król mignął mi przez moment, miałem inne rzeczy do roboty, choć ta chwila wystarczyła, bym dokładnie go zapamiętał. Sadził ogromne susy w przedziwny sposób – zgarbiony, z głową schowaną między ramionami. Strzały poszły w jego stronę, przywarł do ziemi, tylko jedna, krótka i czarna utkwiła głęboko w udzie. Równie dobrze mogliby weń żwirem ciskać, nie patrzyłem już, słyszałem tylko, jak dopada strzelców.

Może nie przewidzieli, że zdołamy do nich dotrzeć, albo taki był właśnie plan Sara, który widocznie nie troszczył się o ludzi. Walka dobiegła końca szybciej, nim ktokolwiek by przypuszczał, właściwie mnie samemu wydała się snem. Stałem, jakoś tak wybudzony, z zakrwawioną pałką, do której przykleiły się czyjeś włosy. Popatrzyłem w dół. Jeśli celem Sara było przetrzebienie naszych – wygrał, jego ludzie ruszą wkrótce za ocalałymi i wybiją jednego po drugim. Główna kolumna zajmie kopalnie bez żadnego wysiłku. Górnicy nie zbiorą nowych sił.

O tym myślałem, schodząc ze stoku, a także o tym, kto zginął, a kto nie. Nie przywiązuję się do ludzi i patrząc na zmarłych, czułem ulgę, że tym razem śmierć mnie ominęła. Nie o każdym można tak powiedzieć: Hal leżał na wznak, z piersi wystawało mu piórko strzały. Król pędził w jego stronę i zaraz go objął. Nawet ze swojego miejsca widziałem, że Hala mamy z głowy, jednak Król nie przyjmował tego do wiadomości. Z delikatnością, o którą bym go nie podejrzewał, dotykał jego dłoni i wodził

palcem po czole. Coś kazało mi do niego podejść, a ledwo to zrobiłem, zacząłem żałować. Wówczas nie wiedziałem, czego spodziewać się po Królu.

Stanąłem za nim. Trzymał trupa za głowę, próbował otwierać mu usta, udając, że Hal wciąż oddycha. Potrząsnął nim, wściekły, jakby wbrew swojej legendzie miał problemy ze zrozumieniem tego, na czym polega umieranie. Telepał ciałem coraz mocniej, jął wyć, gnieść mu kości i bić martwą głową o kamienie. Chyba chciał ukarać Hala za to, że ten go opuścił. Przynajmniej ja tak zrozumiałem.

Nikt nie śmiał się zbliżyć do Króla, ocaleli uciekali, byle dalej z wąwozu. Też powinienem tak zrobić. Byłem ciekaw różnych rzeczy, a widok olbrzyma wyjącego niczym dzieciak sprawił, że poczułem się dziwnie, zwłaszcza kiedy Król, potrzaskawszy ciało, przeraził się tym, co uczynił. Zabrał się do naprawiania, niezdarnymi dłońmi próbował złączyć połamane kości i wpychał w mózg kawałki czaszki.

— Wystarczy — powiedziałem mu.

Popatrzył na mnie zdumiony. Potrząsnął czerwoną głową. Trwał na czworakach i zerkał to na Hala, to na mnie. Nie wiedziałem, co powinienem zrobić, więc zrobiłem to, co należałoby, gdyby nic się nie wydarzyło. Zabrałem tobołek, broń i poszedłem. Powiedziałem tylko:

— Uważaj na siebie, Królu.

Ledwo ruszyłem, już wrzasnął. Odskoczyłem, żeby mi nie zrobił krzywdy – byłem pewny, że mnie atakuje, wściekły, bo Hal umarł, a ja nie. Był to tylko błysk gniewu, przepadł, odwróciłem się – Król pełznął do mnie na czworakach, zasmarkany i smutny. Przywarł do ziemi, objął mi nogę, całował stopę, aż znieruchomiał, z głową pod moim kolanem. Guzy uwierały mnie w łydkę. Nie puścił.

Odtąd wędrowaliśmy we dwóch.

***